

Iwona Kurz

Weronika Szczawińska

Kultura, czyli co...

iwona: Witamy państwa na Kongresie Kultury w Pałacu Kultury i Nauki.

Weronika: Czyli właściwie gdzie?

iwona: Właśnie. O czym właściwie mówimy, kiedy tu, w Pałacu Kultury, mówimy na Kongresie Kultury o kulturze? Jakie są granice tego pojęcia? I – co równie ważne – z kim o tym mówimy? Patrząc dziś na wypełnioną salę, mając również w pamięci plan kongresu i tematy stolików, nie mogę nie zapytać o to, kogo tu nie ma. Głos tych nieobecnych, choć nie biorą udziału w dyskusji, również powinniśmy wziąć pod uwagę.

Nie ma na przykład Pawła Soszyńskiego, redaktora pisma kulturalnego „Dwutygodnik.com”, który nie wierzy w skuteczność gadaniny, jaką będziemy tu uprawiać (określa ją zresztą mniej kulturalnym słowem). Krytyczny jest Witold Mrozek, który tuż przed Kongresem napisał w „Gazecie Wyborczej” między innymi:

Jednocześnie mam obawę, że ze względu na szalejącą wojnę polską-polską, a także tradycje środowiska, które stoi za zwołaniem Kongresu, zewnętrzny przekaz tych kilkudziesięciu debat może bardziej powielać dotychczasowe rozpoznania, podziały i (przede wszystkim) prześlepiania niż zmieniać polską dyskusję o kulturze.

Witold Mrozek

Z ponad 300 zgłoszonych tematów do dyskusji (stolików) pozostało ostatecznie 42 – wybranych drogą demokracji internetowej. Są tematy mniej i bardziej gorące, ale też ten wybór często padał na znane z debaty publicznej nazwiska, lub, jeszcze inaczej, wynikał ze zorganizowania określonych środowisk, jak promotorzy i promotorki Młodej Kultury. Demokratyczna gilotyna ścięła wszystkie tematy związane z mediami cyfrowymi, za pomocą których zwykle się dziś komunikujemy i za pomocą których w dużym stopniu został zorganizowany Kongres. Wypadł również sektor, który świetnie radzi sobie bez kultury – w sensie wsparcia instytucjonalnego – czyli gier komputerowych. Czy to jedynie rozrywka, której nie chcemy w sferze kultury? Czy dziedzina, która „wyżywi się sama”, więc nie trzeba o niej debatować?

Słabo widoczna jest kwestia animacji kultury i aktywności obywatelskiej, więcej miejsca zajmują natomiast problemy twórców. Niewielu wśród prowadzących debaty przyjechało spoza Warszawy, choć jest ich wielu wśród uczestników.

Nie ma stolika – a na sali nie widzę szalików – który podejmowałby się analizy praktyk kibicowskich i nowej popularności marszu jako praktyki kultury. Możemy uznać, że to „oni”, ale czy „oni” nie są wytworem z istoty swej dystynkcyjnego – różnicującego klasowo – działania kultury? Wykluczenie nie zaczyna się od kwestii dostępności instytucji czy oferty mniej lub bardziej złożonej i wymagającej, ale od samego użycia pojęcia kultura jako fosy odgradzającej różne klasy społecznej. Czy „oni” mogą zintegrować się w kulturze inaczej niż za pomocą pojęcia narodu? Albo – w mikro skali – inaczej niż po prostu integrując się w obrębie swoich osobnych, odizolowanych od innych światów praktyk kulturowych „kibiców”, „pszczelarzy” czy „biegaczy”?

Nie ma, przynajmniej oficjalnie, przedstawicieli ministerstwa kultury (witamy wszystkich, którzy przybyli incognito). To nieobecność zapewne najbardziej widoczna. Nie ma też osób, zarówno z lewicy, jak i prawicy, które sądzą, że kongres jest spotkaniem lewicy przeciwko prawicy, albo jeszcze inaczej: żałobników po świecie PO przeciwko PiS. Tak jakby warto było tęsknić do raju – którego nie było. Różnice ideologiczne są rzeczywiste i głębokie, a kultura w ministerstwie kultury skurczyła się do sfery narodu i tradycji – to dziś ministerstwo dziedzictwa narodowego. Dzisiejsze konflikty w sferze kultury wynikają jednak tyleż z tych napięć, ile z wieloletnich zaniechań oraz braku przejrzystych i skutecznych rozwiązań strukturalnych. Równie ważne, a może ważniejsze, jest zatem pytanie o sam ustrój kultury – o to, właściwie po co nam ministerstwo? Jakiego rodzaju wsparcia i działania oczekujemy od władzy, wszystkich szczebli i wszystkich proveniencji partyjnych? Jakie są zobowiązania władzy wobec obywateli i jakie powinny być jej praktyki? Jak powinny działać instytucje kultury?

Afera z Teatrem Polskim we Wrocławiu, odwołanie *Golgota Picnic* czy *Nie-boskiej Frljića* pokazały mechanizmy dyskretnych nacisków i ekonomicznych zależności, głęboki konserwatyzm całej lokalnej klasy politycznej ponad partyjnymi podziałami, a jednocześnie koniunkturalizm dyrektorów uznawanych za „liberałów” – słabość względem urzędników nadrabiających nadużywaniem władzy wewnątrz instytucji.

Witold Mrozek

Kongres, ze względu na sam sposób jego organizacji i ostateczny program, łączy bardzo różne modele myślenia o kulturze i obejmuje rozmaite, często sprzeczne tendencje. By wymienić tylko niektóre: został zorganizowany oddolnie (tę pracę, wielomiesięczną, wielu zaangażowanych osób chciałabym tu mocno podkreślić), ośrodków dowodzenia było

wiele – ale miał swoich producentów i dotację ze środków miejskich; w pewnym momencie rozgrzał nas spór, kim właściwie jesteśmy – prekariuszami czy organicznikami, prześladowanymi wyrobnikami kultury i sztuki czy inteligentami z kagankiem oświaty; na „demokratyczne” stoliki nakładają się sesje plenarne organizowane przez „ekspertów” i „autorytety”, a w sesjach plenarnych powinni być znani i cenieni, ale też jacyś młodzi i oczywiście kobiety w wieku (re)produkcyjnym; pole kultury ulega poszerzeniu, zagarniając praktyki nieuznawane dotąd za kulturalne (i jeszcze niedotowane), ale jednocześnie kurczy się sfera autonomii – rozmawiając o kulturze, najmniej rozmawiać będziemy o sztuce (często już niedotowanej).

Kongres jest hybrydą – i nie mógł być niczym innym skoro dotyczy hybrydycznej kultury w kryzysie.

iwona: A sądziliśmy – w minionym dwudziestopięcioleciu, którego owoce uznajemy dziś często za zatrute – że będzie pięknie. W dużym skrócie:

Na początku profesor Maria Janion ogłosiła koniec romantyzmu w jego odmianie tyrtejsko-martyrologicznej, w nadziei, że nastąpią narodziny jednostki i egzystencji. Ostrożnie też oceniała zagrożenia płynące z domeny kultury określanej wówczas mianem kultury masowej.

Wydawało się, że wówczas, że

„Kultura wyżywi się sama”

albo przynajmniej jedna kultura wyżywi inną, jak w sloganie reklamowym wydawnictwa Harlequin, które w połowie lat dziewięćdziesiątych sponsorowało miesięcznik „Res Publica Nowa”:

„Kultura masowa kulturze narodowej”.

Niczym bohaterowie „Metra” polscy twórcy mieli siłą ciężkiej pracy i talentu wzniesć się z podziemi ku wyżynom.

Wtedy też jednak powstają pierwsze inicjatywy animacyjne, a aktywność kulturalna wchodzi w teren na niespotykaną dotąd skalę.

W Polsce mnożą się **„małe ojczyzny”**.

Na fali modernizacyjnego wzmożenia w nowym już stuleciu powstaje program

„Kultura się liczy”

Bon mot miał pokazać, że kultura jest ważna, ale pod warunkiem jednak, że wlicza się w PKB. Gwiazda Richarda Floridy rozbłysła z dużą siłą nad obszarem przemysłów

kreatywnych i designerskich loftów – i zgasła wraz z tym, jak nie rozwinęły się te przemysły.

[wypadło tu z braku czasu

„Kultura jako marka”

– czyli redukcja kultury do sfery wizerunkowej, fasadowego PR]

Wreszcie, jeden z ostatnich wątków:

„Kultura i rozwój”,

w którym rozwój pozostaje aksjomatem, ale konieczna dla niego jest kultura jako nieodłączny komponentem integracji społecznej i rozwoju cywilizacyjnego.

Samo ministerstwo pozostawało w tym czasie w stałym wahaniu w kwestii tego, czym właściwie się zajmuje:

Ministerstwo Kultury i Sztuki

1990–1999

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

1999–2001

Ministerstwo Kultury

2001–2005

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

2005– ????

Weronika: Jak widać na przykładzie zaprezentowanych haseł, kultura w zasadzie nigdy nie bywa po prostu „kulturą”. To pozornie zrozumiałe słowo zawsze występuje z jakimś przymiotnikiem albo dopełnieniem. Hasła, zawarte w przedstawionym tu krótkim kalendarium pokazują wędrówkę, jaką pojęcie „kultura” odbywało w Polsce przez ostatnie lata – i jaką wciąż odbywa. Ta wędrówka odsłania przed nami coś bardzo znaczącego: otóż kultura jest nieustannie określana przez zewnętrzne narracje, jak na przykład ekonomia, koncepcja „narodu” albo określona wizja społeczeństwa. Posługiwanie się słowem „kultura” i samą „kulturą” zawsze zakłada uczestnictwo w konkretnej opowieści, konkretnej wizji świata. Musimy być tego świadomi, zanim rozpoczniemy kongresowe obrady. Musimy zdać sobie sprawę z różnic. Musimy potrafić rozpoznać, w jakiej opowieści sami bierzemy udział

– i jak może ona się spotkać z opowieściami innych. I gdzie jest miejsce na spotkanie, negocjację, a gdzie już pojawia się wykluczenie i przemoc.

Przyjrzyjmy się temu, jak owe dopowiedzenia działają w praktyce. „Kultura masowa” pracująca na „kulturę” narodową kieruje nas ku wewnętrznym podziałom, kulturalnej ekskluzywności, a wreszcie też ku niekończącej się debacie na temat finansowania kultury i definicji tego, co nazywamy „kulturą publiczną”. Z kolei „Ministerstwo Kultury” jest czymś innym od „Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego”. „Kultura, która się liczy” należy natomiast do neoliberalnego świata, w którym wszystko dąży do stania się przemysłem – w tym przypadku kreatywnym. Kultura dookreślana przez „rozwój” może być postrzegana jako część sieci modernizacyjnych działań społecznych. I tak dalej; te opowieści można mnożyć.

Niektóre z opowieści, o których tu mowa, wykluczają inne, próbują uzyskać hegemoniczną rolę – jednocześnie przekonując uczestników tej opowieści o swojej rzekomej naturalności i neutralności.

Tak jest w przypadku kultury, która powinna „wyżywić się sama” – i w przypadku wszystkich haseł, które skazują kulturę na uczestnictwo w ekonomicznym procederze przetrwania najsilniejszych.

Tak jest w przypadku kultury, która ma stać się przede wszystkim „narodowa” – może okazać się bowiem, że nie obejmuje zjawisk, jakie nie odpowiadają aktualnej, historycznie przecież zmiennej koncepcji narodu.

Wszystkie te hasła i nazwy pokazują też, że nieustannie poszukujemy uzasadnienia dla istnienia sfery zwanej kulturą. Uzasadniamy jej istnienie kwestiami finansowymi, wkładem w społeczny postęp, ideologiczną koniecznością. Niewiele tu miejsca na namysł nad kulturą jako sferą autonomiczną – czyli taką, która nie tyle może przydać się rzeczywistości w której żyjemy, ale sama jest tą rzeczywistością, powiązaną z innymi jej obszarami złożoną siecią zależności. Wydaje się, że obok odsłonięcia różnic to właśnie dyskusja nad autonomią kultury – niesprzeczną w takim ujęciu z zaangażowaniem – powinna stać się jednym z najważniejszych punktów debaty.

Negocjacje pomiędzy odmiennymi znaczeniami kultury kierują nas ku jeszcze ważniejszym wnioskowi.

W ostatnich latach wręcz nadużywaliśmy hasła o tym, że kultura jest przestrzenią wspólnoty. Jeśli nie zdefiniujemy, choćby na własny użytek, obu tych pojęć, grozi nam głębokie nieporozumienie.

Kultura zawiera w sobie i wspólnotę, i różnicę.

I to chciałabym wskazać jako największe wyzwanie pracy kultury, pracy w kulturze, w obecnych czasach: dbałość o powiększanie wspólnego pola, przy jednoczesnym odsłonięciu różnic – tych ideologicznych, tych finansowych, tych związanych z konkretnymi potrzebami i możliwościami.

Weronika: Kultura to polifonia – chciałybyśmy więc włączyć do tej wypowiedzi głosy artystów, którzy w działaniu negocjują pole tego, co wspólne.

Jedno z haseł powracających na Kongresie to „Jak było, jak jest, jak może być”. Na koniec, za pomocą artystów, chcemy zapytać o to ostatnie, o możliwą przyszłość.

iwona: (1) Jedną z ważniejszych dla mnie w połowie lat dziewięćdziesiątych książek – „książką zbójecką” – była powieść Izabeli Filipiak *Absolutna amnezja*. Kończyłam wtedy studia polonistyczne, a wokół toczyła się dyskusja pod hasłem „literatury menstruacyjnej” zainicjowana w znakomitym piśmie literackim „ex libris”. Z książki, będącej zjadliwą krytyką PRL i, szerzej kultury polskiej, jako patriarchy wzięłam, zaprawiony w niej goryczą, ale jednak – alternatywny pomysł na kulturę.

Zostawmy te laurki. Jak znudziły nas kwiatki, dajmy im spokój, też. Wystarczy, jeśli pozwolimy sobie na – lekkość. Na inne spojrzenie. Na pomyłkę. To jest wyprawa w alternatywną rzeczywistość. Bliższą nam od tej wersji, którą z przyzwyczajenia uznaliśmy za prawdziwą. Wszystko jest sprawą wyboru. Gasimy światło. Przekręcamy klucz w zamku. Nie ma nas. Znikamy. A teraz jesteśmy znowu, rozglądamy się wokół świeżym spojrzeniem noworodka. I już! Nic jeszcze nie wiemy o świecie, dlatego nie ma w nas lęku. Patrzymy tylko. Tylko słuchamy. Zatem!”

Izabela Filipiak, *Absolutna amnezja* (1995)

Traktując literaturę, sztukę, jako laboratorium społeczne, sądzę, że dziś mogłoby to znaczyć dwie rzeczy:

» solidarność zamiast agonu i rywalizacji – może 70 lat po wojnie i 25 lat po zamknięciu PRL jest szansa na naukę języka, w którym „ja” i „my” nie zaczyna się od negatywnego odniesienia do „onych” i „obcych”; być może da się pomyśleć ustrój kultury nie oparty na stałej rywalizacji o zasoby;

» słabość zamiast siły – skoro jesteśmy wolni, możemy sobie pozwolić na wyprawę w krainę wyobraźni, na lekkość i ironię, na niepewność i płynność. Na różnicę.

(2) Fragment spektaklu w reżyserii Michała Borczucha *Wszystko o mojej matce*.

Weronika: (3) Chciałabym odwołać się do postulatywnej definicji kultury wypracowanej przez paryski Związek Artystów, założony w kwietniu 1871 roku, podczas Komuny Paryskiej. W swoim manifestie członkowie związku deklarowali:

Będziemy działać wspólnie na rzecz naszej odnowy, narodzin wspólnego luksusu, przyszłych splendorów i Powszechnej Republiki.

Ten skromny fragment zawiera w sobie kilka bardzo istotnych myśli.

Przekonanie o tym, że kultura i sztuka to działanie na rzecz „naszej odnowy” – czyli aktywny udział w nieustannej renegotjacji kształtu społeczeństwa.

Przekonanie, że to przestrzeń wspólnego luksusu, rozumianego jako międzyludzki dobrobyt, uruchomienie możliwości indywidualnej emancypacji, równy dostęp do tego, co najlepsze.

To także wiara w taką kulturę, która przekształca codzienność – tworząc wspólnotowy splendor, a nie kulturalną dystynkcję.

I wreszcie, pojawia się tu pewność, że kultura to działanie na rzecz przyszłości, otwierające przyszłość i przyszłość projektujące. I że dzięki niej wyobrażenie sobie przyszłości staje się możliwe – nawet w najtrudniejszych czasach.